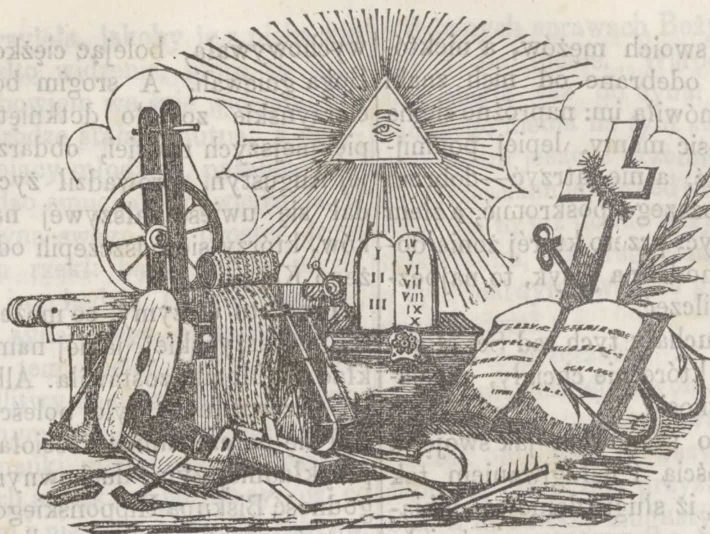
ROK TRZECI.

№ 18.

Warszawa

Dnia 20 kwietnia (2 maja) 1858.

Niedziela 4ta po Wielkiéj Nocy.



REDAKCYA CZYTELNI przy ulicy Chmielnéj Nr. 1527.

PRENUMERATA rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Boże, który umysły wiernych spajasz w jedność woli, udziel ludom Twoim, iżby się rozmiłowali w tem, co rozkazujesz, a jedynie żądali tego, co obiecujesz; niechaj wśród światowych niestałości tam się serca nasze ugruntują, gdzie wieczna radość przebywa. (Kollekta na Niedzielę czwartą po Wielkiej-Nocy).

Święta Monika.

Między wielu niewiastami, które bogobojném życiem zasłużyły sobie, iż je kościół w poczet błogosławionych i świętych zalicza, Śta Monika przedstawia się nam jako szczególny wzór dla córek, żon, a nadewszystko dla matek.

Żyła ona w Afryce, w trzysta kilkadziesiąt lat po narodzeniu Jezusa Chrystusa. W młodocianym wieku już okazała, jakie wrażenie na jéj umysł i serce wywiera słowo prawdy. Będąc bowiem używaną przez rodziców do przynoszenia wina z piwnicy, nabrała zwyczaju kosztować go po trochu i tak w niem zasmakowała, iż wkońcu po kubku wypijała, a nikt się tego nie domyślał. Lecz razu jednego sługa, która za panienką zwykle po wino schodziła, nazwała ją *pijaczką*. Słowo to jak strzała uderzyło w serce Moniki; zawstydziła się sama siebie i odtąd zaniechała zupełnie zwyczaju, który mógłby był w obrzydły nałóg się zamienić. Ileż wad w samym ich zarodzie moglibyśmy się pozbyć, gdybyśmy umieli korzystać ze słowa, które o nas nie pochlebcy, ale prawdę mówiący wyrzekną.

Rodzice jéj byli poganami, ona zaś przebywając często między wyznawcami Jezusa Chrystusa, całém sercem przejęła się Jego świętą nauką i chrześcianką została. Cierpiało jéj serce nad zaślepieniem rodziców, lecz nigdy w niczem nie uchybiła winnego im uszanowania i posłuszeństwa; a ulegając ich woli, weszła w związek małżeński z Patrycyuszem, który był nietylko poganinem, ale gniewliwym i porywczym człowiekiem. Umiała ona wszakże wszystko tak znosić, iż nigdy z nim nietylko do kłótni, ale nawet do sprzeczki nie przyszło. Czekała miłosierdzia Bożego nad nim, ale nie narzucała mu swojéj wiary, nie nagliła; pragnąc go prawdziwie Bogu pozyskać, zniewalała ku temu tylko cnotami swemi, zgodnem z nim mieszkaniem i posłusznem usługiwaniem. Znając, iż był gniewliwy, nigdy zagniewanemu nic nie przekładała, ani się usprawiedliwiała; lecz gdy ochłonął, wtedy starała się go przekonać, że do gniewu przyczyny nie miał. Gdy znajome jéj niewiasty narzekały przed nią na złe ob-

chodzenie się z niemi swoich mężów, a niektóre zaczęły okazywać odebrane od nich znaki obrażeń, Śta Monika mówiła im: naprożno się na panów naszych podnosić mamy, lepiej pomnijmy, aby ich ułagodzić, a nie jątrzyć—dobrem słowem można najsroższego poskromić, a złem i najlepszego rozjątrzyć; przeto któréj żonie dobre słówko nie przychodzi na język, to najbezpieczniej dla niéj zamilczeć.

Które tedy żony słuchały tych rad Śéj Moniki, dobrze im było, a które nie chciały, musiały niepokoje ciężkie znosić.

Matkę męża swego szanowała jak swoję, a cierpliwością, łagodnością i usługiwaniem tak jéj serce zniewoliła, iż sługi domowe lubiące zwykle znosić plotki na synowę, nie śmiały nigdy źle mówić o żonie Patrycyusza. Owszem sama matka jego polecała synowi, aby ukarał te, co w czemkolwiek przeciw synowej uchybiały; a tak złe języki ucichły, a zgoda i miłość w domu zakwitły.

O! jakiż ztąd przykład i za dni naszych dla rodzin mieszkających z matką męża lub żony, gdzie zbyt często niestety! dają się widzieć i słyszeć swary, plotki, rozdwojenia, zamiast zgody i miłości, jakie Śta Monika w domu swéj Świekry zaprowadziła.

Tak przykładnem we wszystkiem postępowaniem pozyskała Chrystusowi męża swego; wyrzekł się on pogaństwa i chrześcianinem umarł.

Miała jeszcze Śta Monika dar wielki, iż niezgodne osoby do świętéj zgody przywodziła. Gdy się przed nią znajome jéj skarżyły, a jedna na drugą mówiły, co gniew im kazał, ona ani jednéj, ani drugiéj nic nie powtórzyła, ale obie strony łagodziła i serce zranione leczyła, to tylko mówiąc, czemby się pojednać mogły. Pamiętała bowiem Sta Monika, o czem my dziś zbyt często zapominamy, że u dobrych prawdziwych chrześcian nie dość na tem, aby między niezgodnymi, nic takiego nie mówić, coby ich niezgodę powiększało, ale tak należy przemawiać, iżby kłótnie uspokoić, a zgodę uutrwalić.

Kto tylko znał Stą Monikę, a widział jak w jéj sercu Bóg przebywa, jak życie jéj pełne dobrych uczynków, musiał pojednywać się z Bogiem, bo takim to sposobem najwięcéj przysparza się prawdziwych sług Jego.

Po śmierci męża swego wiernie stan wdowi zachowała, domem porządnie rządziła i synów wychowywała, bolejąc ciężko nad nimi, ilekroć Boga gniewali. A srogim bólem serce jéj macierzyńskie zostało dotknięte, bo pełen najpiękniejszych nadziei, obdarzony rozumem syn jéj Augustyn, prowadził życie nieprzykładne i dał się uwieść fałszywéj nauce Manichejczyków, którzy się odszczepili od prawdziwego Bożego Kościoła.

Owoż tu ujrzymy, co może wytrwałość miłości macierzyńskiéj, jakiéj nam przecudny przykład Sta Monika zostawiła. Albowiem syn, którego przewrotność tyle boleści jéj sercu zadała, stał się potem chlubą kościoła katolickiego, najprzykładniejszym duchownym, wyniesiony na godność Biskupa Hippońskiego, a w końcu w poczet świętych pańskich policzony. Uważajmyż pilnie, jak ta wzorowa matka z tym zabłąkanym w manowce świata synem postępowała.

Błagała ona Boga we dnie i w nocy, aby mu światło prawdy pokazał, bo mocne miała przekonanie, że kto tylko szczerze przyjmie do serca swego wiarę w naukę Zbawiciela, ten i postępki swoje do téj wiary zastosować musi. Gdy syn jéj zapragnął pojechać do Rzymu, aby się w naukach światowych doskonalić, matka widząc, że tam podówczas wiele było fałszywych filozofów, co błędne nauki rozsiewali, a pięknemi słowami przyciągali niebaczną młodzież, przerażona, aby syn jéj nie został większą jeszcze ślepotą ku wierze katolickiéj zarażony, pojechała za nim. Nie wstrzymywały jéj ani niebezbieczeństwa morskiej żeglugi, ani trudy podróży ziemią; wszędzie jak anioł stróż za synem dążyła, czując w głębi serca obowiązek czuwania nad duszą jego i ufając Bogu, że ją do zbawienia doprowadzi. Gdziekolwiek o jakim uczonym kapłanie, albo biskupie dowiedziała się, szła do niego, prosząc ze łzami, aby z jéj synem pomówił i na dobrą go drogę naprowadził. Jeden z nich rzekł do niéj: on teraz jeszcze za hardy, zbyt zarozumiały, pogaństwem i fałszywą nauką zaślepiony, do prawdziwej wiary niesposobny, zajęty nowościami kacerstwa, chce między prostaczkami za mądrego uchodzić; ale poczekaj jeszcze, a on sam się doczyta w tych bezbożnych pismach, iż są błędami przejęte. Sta Monika nie chcąc na tem, co jéj biskup mówił, poprzestać, ciągle płakała i prosiła, aby syna jéj nawracał, a biskup jéj na to: Idźże sobie, żyj tylko jakeś zaczęła, a być nie może, aby syn łez takich, miał ginąć.

To słowo tak przyjęła, jakoby je z nieba kto wyrzekł. Miała nadto widzenie, które ją mocno pokrzepiło; albowiem we śnie widziała, jakoby na prostéj drodze stała smutna, a przyszedł do niéj jaśniejący młodzian, pytając, czemuby się tak bardzo smuciła? — powiedziała, iż płacze nad duszą syna swego, bo prostéj drogi unika. A młodzian rzekł: bądź dobrej myśli, gdzieś ty jest, tam i on będzie. I obróciwszy się, ujrzała Augustyna syna swego na tejże drodze co i ona stojącego; tem wielce pocieszona gorętsze jeszcze modlitwy za niego do Boga wznosiła. W tym pięknym śnie od Boga Stéj Monice zesłanym, ileż nauki mieści się dla wszystkich nieszczęśliwych matek, mających synów, co złem prowadzeniem i niewiarą serca ich zakrwawiają. Dobry przykład matek, ich postępowanie prostą drogą, łzy ich i modlitwy mogą synów chodzących najgorszemi manowcami sprowadzić na prostą drogę, po któréj kochające i ukochane matki swe kroki stawiają.

Niebawnie też Bóg jeszcze większą nadzieję wlał w jéj serce, albowiem dostrzegła w mieście Medyolanie (we Włoszech), iż syn jéj pilnie zaczął przysłuchiwać się i coraz więcéj uczęszczać na kazania Sgo Ambrożego — a więc Sta Monika uważała owego wielce uczonego kapłana, jako Anioła, za pomocą którego dopełni się nawrócenie jéj syna. Jakoż Sty Ambroży tak gruntownie wyjaśniał błędy i fałsze kacerstwa Manichejczyków, iż młody Augustyn dał się przekonać i z rąk tegoż Biskupa chrzest święty przyjął. Został późniéj nietylko prawowiernym chrześcianinem, ale najgorliwszym pogromcą odszczepieństwa, a najwymowniejszym obrońcą prawd przez kościół uznanych.

Gdy po nawróceniu swem mieszkał jako mnich w klasztorze wraz z innymi zakonnikami, Sta Monika opatrywała ich potrzeby, jakby wszyscy jéj synami byli, a była dla tych sług Bożych tak pokorną, jakby ich córką była. Bo taka jest moc prawdziwie braterskiéj miłości zaleconéj nam przez naszego Zbawiciela Jezusa Chrystusa, iż serce nią ogrzane, wyświadczoną przez siebie drugim łaskę czy usługę, uważa tylko jako dopełnienie obowiązku swego.

Wybrał się potem Sty Augustyn na powrót do ojczyzny swojéj do Afryki, matka też z nim jechała, a czekając na wiatr pomyślny, by odpłynąć z miasta Osty, lubiła się przyglądać morzu i rozmawiać z synem o niebieskiéj ojczyźnie, o dziwnych sprawach Bożych na ziemi, na morzu i na niebie. Wśród takich to rozmyślań rzekła raz do syna: dla mnie już nic pożądanego niema na tym świecie, dlatego tylko pragnęłam jeszcze przemieszkać na nim, abym cię chrześcianinem przed śmiercią widzieć mogła. Bóg mi to już hojnie uczynił, bo cię widzę nietylko takim, jak pragnęłam, ale i sługą Bożym, a tym marnym światem gardzącym. Cóż tu już czynić mam?

Było to przeczucie, że ją rychło Bóg do nagrody niebieskiéj powoła, bo piątego dnia zachorowała i już nie powstała. W chorobie téj raz tak omdlała, że wszyscy mniemali, iż już skonała, lecz ona przyszedłszy jeszcze do siebie, a ujrzawszy Augustyna i brata jego rzekła: Tu mnie pogrzebcie. Gdy jeden z synów oświadczył, iż chcieliby ją do Afryki zawieść i w grobie jéj męża a ich ojca kosztownie przez nią zbudowanym pogrzebać, ona odrzekła: Pogrzebcie gdziekolwiek ciało moje, nic o miejsce nie dbając; proszę tylko, abyście u ołtarza na mnie pamiętali, gdziekolwiek będziecie.

I tak dnia dziewiątego swéj choroby, z ciałem się rozstała, mając lat 56, gdy syn jéj Sty Augustyn miał podówczas 33.

Skoro umarła, śpiewali nad nią psalmy, a Mszą Świętą, któréj ona za życia codzień słuchała, za nią odprawowali.

Piękne przedstawiają się nam obrazy w téj matce i w tym synu. Ona przykładem swoim, staraniem, łzami i modlitwą przyczynia się do jego nawrócenia; on składa hołd wdzięczności synowskiéj, błagając Boga przy Świętéj ofierze odkupienia o rychłe przyjęcie do wiecznéj szczęśliwości duszy swéj matki.

Uroczystość téj świętéj przypada w przyszły Czwartek.

Cudze nie tuczy.

I.

Jak *cudze nie grzeje*, tak *cudze nie tuczy*.
Téj prawdy, cnych ojców przysłowie nas uczy;
A jednak jej dotąd niejeden nie wierzy,
I sunie swą rękę do niecnéj grabieży,
A głusząc w swéj duszy, co mówi sumienie,
Zagarnia z chciwością i braterskie mienie.

I złe się rozlało szeroko i długo,
I płynąć zaczęło a głęboką strugą;
Lecz zacni ludziska, ufni w pomoc Bożą,

Zuchwałym się złego postępem nie trwożą;
I walkę z niem poczną i ostrą i żwawą,
Aż pierzchnie złe zdala, za taką jéj sprawą.

A wiecie to pewnie; do takiéj rozprawy
Nietrzeba ni korda, ni ciężkiéj buławy;
Lecz chcąc z niéj powrócić z obfitym obłowem,
Trza gromić wymową, trza silnem bić słowem.
To też wodze nasi, to mając na względzie,
Gromią słowem w pieśni, albo też w *Gawędzie*. (1)

Zwracając się myślą w niedawne ztąd dzieje,
Znajdziesz tam *Gawędę*, że *cudze nie grzeje*, (2)
Każdy ją zrozumie, i kmiotek i sługa
I wdzięczność czuć będzie dla Adama Pługa. (2)

Dzisiaj wam przynosim gawędę znów drugą,
Co się też niemniejszą odznacza zasługą;
I z któréj się każdy dowodnie nauczy,
Że to, co kradzione, to także *nie tuczy*;
A za nią się wdzięczność należy i sława
Pióru Syrokomli cnego Władysława. (4)

II.

W samym końcu zaścianka(5) pilnując swéj niwy,
Żył sobie szlachcic poczciwy,
A miał syna wyrostka, z wąsem wyżéj nosa.
Chłopiec dobre miał serce, ale w głowie za to
Okropnie było pstrokato,
Zwyczajnie jak u młokosa.
A tużże mój mospanie, obok ich stodoły
Ciągnął się wygon sąsiada,
Na którym pasły się stada:
Konie, owieczki i woły.
—Czy wiecie co tatulu! (tak mówił raz młody),
Fraszki to, praca i cnota!
U nas panie! poczciwość, trudy, niewygody,
A w domu wieczna hołota;
Czy to Pan Bóg uważa, że ludziska giną?
Poczciwym nie da talarka;
Dla jednego pomyślność odmierza ośminą,
Drugiemu liczy na ziarka.
Naprzykład, choćby u nas, ot idą zapusty,
A w domu ni to, ni owo.
Jakby to było dobrze, by na czwartek tłusty
Mieć na stół pieczeń wołową!
—A zkądże weźmiesz wołu?
—Czy to wielka sztuka?
Niby to dostać nie możem;
Chodzą woły sąsiada... po gardzieli nożem,
Niech potem sąsiad poszuka.
—Cóż to? zawołał ojciec, to kradzież wyraźnie,
To jakaś sztuka zbójecka;
A siódme przykazanie, a sumienie, błaźnie!
A nasza wiara szlachecka?..
—At, myśleć co się godzi, a co się niegodzi?
Za cóż my biedni i głodni?
Nas wół jeden przez kilka przeżywi tygodni,
Czy to po ludziach nie chodzi?
Na takie przełożenie ojciec mruknął zcicha:
—Cóż robić? szatan cię uczy;
Ukradniem jutro wołu, lecz pomnij do licha:
Nigdy kradzione nie tuczy.
Wieczorem stary ojciec poszedł do sąsiada,
Cichaczem kupił wołu, napił się borysza, (6)
Nazajutrz bierze syna, niby się podkrada,
I z wołem... het! do zacisza.
Zaraz nożem po gardle, nieszczęsnego byka
Rozćwiertowali w stodole,
I jak słowo powiedzieć, już u czynszownika
Wołowa pieczeń na stole.
—Wiesz co teraz mój synku? odmierzym się w pasie,
Zjadając mięsko tak cudnie,
Będziem wiedzieć mospanie! po niejakim czasie,
Kto z nas utyje, kto schudnie?
Zmierzyli się, i każdy na swojéj poprędze
Naznaczył kreskę czerwoną.
—Co to gadać tatulu, schudzeni przez nędzę,
Teraz utuczym się pono;
Przez całe trzy tygodnie gody u szlachcica,
Codzień przysmaczek od wołu:
Dzisiaj rura do barszczu, jutro polędwica,
Pojutrze pieczeń u stołu.
A tu rozruch w zaścianku, sąsiad niby jęczy,
Niby to szuka wołu, niby ludzi zowie;
Syn się dręczy obawą, jak duch potępieńczy,
Już mu i jadło nie w głowie.

(1) Mowa tu, o gromieniu rozmaitych występków w formie pieśni, obrazków i gawęd, jak np. Gawędy p. Macieja, zamieszczane w piśmie naszem i t. p.

(2) Taki jest przedmiot Gawędy zamieszczonéj w nrze 52 Czytelni z r. z. pióra Adama Pługa.

(3) Adam Pług, jest to *pseudonim*, czyli przybrane nazwisko przez Pietkiewicza.

(4) Pod imieniem Syrokomli Władysława, zwykł ogłaszać swoje utwory Ludwik Kondratowicz.

(5) Zaściankami zwą się na Litwie niewielkie osady szlacheckie, zdala od wsi leżące.

(6) Litkup.

Czy kto skrzypnie we wrotach, on w nocy i we dnie
Marzy o przyjściu sąsiada;
W obiedzie strach, zgryzota, co chwila pobledni,
A ojciec smaczno zajada.
Syn był młody i zdrowy, jak dębina krzepka,
Ojca wiek zniszczył i znoje;
Lecz kiedy zjedli wołu, syn wysechł jak szczepka,
A ojciec utył we dwoje.
—A co, błaźnie! (rzekł stary), pamiętaj przysłowie:
Że *male parta* do czarta; (7)
Ja zakupiłem wołu, toć mi szło na zdrowie,
Ty kradnąc, schudłeś na charta.

Pałac i dworek.

—

W pięknej okolicy niedaleko Krakowa leżała obszerna wioska, przecięta pośrodku strumieniem. Wśród rozległych łanów bujnie przenicą okrytych, na wzgórzu, u stóp którego ciągnął się długi szereg chat wieśniaczych, wznosił się skromny wiejski kościołek, okolony wraz z plebanią nie opodal stojącą, zielonym wieńcem lip rozłożystych. Po lewéj stronie strumienia połyskał białemi mury piękny w nowym guście wybudowany pałacyk, po prawej nęcił oko swą prostotą i skromnością stary, modrzewiowy dworek.

W pałacu mieszkał młody Emanuel ostatni potomek zamożnéj rodziny, w modrzewiowym dworcu stary szlachcic Zaręba.

Jednego roku, a było to zaraz po żniwach, w pałacu panował niezwykły ruch i wrzawa. Zebrane grono przyjaciół i znajomych witało huczną biesiadą powrót Emanuela, który właśnie w tych dniach przybył do kraju z długiéj za granicą podróży. Wzruszony takim dowodem przychylności Emanuel oznajmił zebranym, że pragnąłby odpłacić im przyjacielskie przyjęcie i w tym celu postanowił urządzić myśliwską zabawę, na którą obecnych zapraszał, a dalszych sąsiadów piśmiennie do przyjęcia udziału w téj zabawie wzywał.

Znane już były w okolicy łowy Emanuela; wiedziano, że w obszernych lasach dóbr jego nierzadką była zwierzyna, że strzelcy znali doskonale rzemiosło swoje, że psiarnia i stajnie zawsze starannie utrzymywane były. Chętnie przyjęto projekt zabawy, bo i czas sprzyjał po temu. Rok był urodzajny, zbiory przecudnie się udały, każdy wesoły i zadowolony rad był w zabawie szukać wytchnienia po całorocznych trudach i kłopotach gospodarskich.

W przeddzień łowów już wszyscy zaproszeni zebrali się w pałacu. Wspaniałą wieczerzą przyjął gospodarz zebranych gości; wesołe grono myśliwców coraz to nowe wznosiło toasty na cześć ulubionego towarzysza zabaw i za szczęśliwe jego przybycie; tysiące dowcipnych historyjek myśliwskich składnie i gładko płynęło z ust ochoczej drużyny. Długoby zapewne trwała jeszcze biesiada, bo za każdym nowym kielichem jakby nowa w serce wstępowała wesołość i nowy przedmiot rozmowy się budził, lecz troskliwy gospodarz przypomniawszy, sobie, że nazajutrz o świcie w pole wyruszyć należy, pierwszy udał się na spoczynek, co też wkrótce wszyscy uczynili. Pogasły światła, ucichła wrzawa, a sen zakończył zabawę.

Inaczéj spędzono wieczór w ubogim domku szlachcica. Przed wieczorem Zaręba wraz z żoną i ośmioletnią córką swą Zosią udali się na przechadzkę do plebanii; wkrótce wraz z księdzem proboszczem wrócili do domu, a spożywszy skromną wieczerzę, odmówili wraz ze wszystkimi domownikami wieczorne modlitwy. Sędziwy kapłan odchodząc, udzielił swe pasterskie błogosławieństwo, a gdy już i pan Zaręba wydał ostatnie gospodarskie rozporządzenia, udano się na spoczynek pokrzepić strudzone całodzienną pracą ciało, aby nazajutrz ze świeżemi siłami przystąpić znowu do zatrudnień gospodarskich.

Około północy czas zmienił się niespodzianie: czarne, gęste chmury okryły widnokrąg, wiatr zawył ponuro, błyskawice od czasu do czasu migotały na tle czarnéj nocy, a powietrze przesycone parnemi wyziewy zdawało się przygniatać swoim ciężarem. Zagrzmiało najprzód gdzieś w oddali, potem bliżéj, głośniéj, wyraźniéj, nareszcie rozległ się huk głośny prawie nad samym domkiem Zaręby; w téj chwili jaskrawa błyskawica przedarła chmury i piorun uderzył w stodołę jego.

Wszczął się pożar; płomień podżegany wiatrem niszczył wszystko, cokolwiek mógł dosięgnąć. Zbudzony Zaręba wybiegł co żywo ratować swoję siedzibę, wkrótce nadbiegli ludzie

(6) *Male parta*, znaczy *źle nabyte*.

ze wsi, lecz dowiedziawszy się, że ogień powstał od piorunu, idąc za głosem zastarzałego przesądu, że ognia takiego gasić nie należy, stali w oddaleniu, odpowiadając tylko łzami współczucia i litości na zaklęcia i prośby sąsiada wzywającego ich pomocy.

Krzyk, gwar i hałas przebudził także śpiących w pałacu, kilku młodych ludzi pomimo śmiechów i szyderstw kolegów i samego Emanuela, który przekonawszy się poprzednio, że wiatr przeciwny zasłania budowle jego od pożaru, zachęcał jeszcze do żartów, śmiejąc się z szlachetnych chęci młodzieńców, wybiegło żywo z pałacu i przybywszy do ognia wraz z Zarębą, ratować zaczęli palące się zabudowania. Przykład ich zwalczył przesąd rozsądniejszych wieśniaków i powiększyła się gromadka ratujących; lecz siły jeszcze nie były dostateczne do przytłumienia pażaru, wkrótce ogień zajął domek mieszkalny. Tutaj już rozpacz poczciwego szlachcica nie miała granic, lecz Bóg zesłał mu swego anioła. Przybył proboszcz, a zgromiwszy obojętność zabobonnych wieśniaków, nie uważając na starość swoję, schwycił bosak z rąk obok stojącego i posunął się naprzód. Rzucili się za nim ochoczo wieśniacy i wspólnemi siłami ratować nieszczęśliwego brata zaczęli. Wkrótce też wiatr ustał, deszcz padać zaczął i ogień gasł powoli, lecz zabudowania gospodarskie już się spaliły, a dworek tak był uszkodzony, że zamieszkać w nim było niepodobna. Zapłakał poczciwy szlachcic nad ruiną skromnego domu, w którym tak cicho upłynęły mu chwile jego dzieciństwa, gdzie tak uroczo zbiegła mu młodość, gdzie spokojnie biegło dalsze jego życie, gdzie już i umrzeć miał nadzieję, w téj samej komnacie, na tem samém łożu, na którem oddał Bogu ducha jego ojciec, dziad i pradziad podobno. Żona i córka, chociaż równie czuły poniesioną stratę, pocieszać go zaczęły; słowa ich pełne wiary i ufności w Bogu ułagodziły nieco boleść starca; otarł łzy, a raz jeszcze rzuciwszy okiem na ten miły zakątek, teraz zmieniony w garść gruzu i popiołu, podał rękę żonie i córce, i ze zwieszoną głową opuścił pogorzelisko, sam nie wiedząc, gdzie zwrócić swe kroki. Gdzież szukać przytułku i schronienia, jeśli nie u sąsiada? Udał się więc do Emanuela, prosząc go, aby mu na czas jakiś pozwolił zamieszkać w oficynie swego pałacu i udzielił pomocy do odbudowania się.

Emanuel grzecznie przyjął nieszczęśliwego pogorzelca, lecz wysłuchawszy słów jego, najuprzejmiéj przepraszać go zaczął, iż prośbom jego zadość uczynić nie jest w stanie, dlatego, iż pieniędzy gotowych nie ma, a schronienia dać nie może, bo goście obecnie przybyli, zaledwie z trudem u niego pomieścić się mogli i sam nie wie nawet, gdzie ulokuje tych, którzy jeszcze przybyć mają.

Obecni panowie dowiedziawszy się o co rzecz idzie, złożyli pewną sumkę, do której nawet i pan Emanuel dorzucił dukata i ofiarować chcieli takową Zarębie, lecz ten ofiary nie przyjął i powiedziawszy tylko, że o czasową pomoc, nie zaś o jałmużnę przybył prosić, oddalił się szybko z pałacu.

Było to już nad ranem, pierwsze promienie słońca rozwidniły widnokrąg, a gdy Zaręba podniósł oczy do góry, jakby chciał nieba zapytać, co ma w nieszczęściu swojem uczynić, ujrzał niedaleko za lipami krzyż kościołka, co jak przewodnia gwiazda zdawał się drogę wskazywać. Jakoż w samej rzeczy udał się w tym kierunku i zaszedł na plebanię, a w szczupłem mieszkaniu proboszcza znalazło się miejsce dla tych, którzy w obszernem pałacu pomieszczeni być nie mogli.

Minęło parę tygodni i nic nie zmieniło się w położeniu nieszczęśliwego Zaręby. Co dzień czuł on więcéj, jakim jest ciężarem dla ubogiego proboszcza i codziennie w świątyni Boga zasyłał gorące modły, prosząc o pomoc i ratunek. Bóg zwykle pomaga tym, którzy z ufnością błagają miłosierdzia Jego, którzy tak w niedoli, jako i w chwilach szczęścia głoszą chwałę Jego wdzięcznemi usty. O! takich jeśli ten dobrotliwy ojciec dotknie cierpieniem i zasmuci nieszczęściem, to pewnie tysiąc razy późniéj nagrodzi, jeśli boleść tę i cierpienie znieść potrafią z zupełnem poddaniem się woli Jego.

I tutaj tak się stało. Nadeszła wiadomość, że gdzieś na Litwie umarł daleki krewny Zaręby i cały swój dość znaczny majątek testamentem mu przeznaczył. Wkrótce drogą urzędową wiadomość ta potwierdzoną została; wtedy Zaręba sprzedał grunt swój, a część otrzymanych z téj sprzedaży pieniędzy zostawiwszy u proboszcza na wsparcie dla biednych, którzy jak on uledz mogą niespodziewanemu nieszczęściu, pojechał do nowo otrzymanego majątku.

—

Zajrzyjmy teraz do mieszkania Emanuela; trudno tam wprawdzie co ciekawego dopatrzéć, lecz że z każdéj chwilki życia człowieka, tak jak ze wszystkiego na ziemi jakąś naukę wydobyć można, i ten więc zwrot bezowocnym nie będzie.

Po odejściu Zaręby zasępiły się wszystkie twarze; każdy z obecnych panów, chociaż tak bez porównania bogatszy od niego, czuł się jednak daleko uboższym, czuł, że taka moc charakteru w nieszczęściu, którą natchnąć może jedynie głęboka wiara i ufność w Boga, daleko więcéj warta, niż majątek i bogactwo, które tak łatwo utracić można. Lecz dźwięk rogów dających hasło rozpoczęcia łowów rozpogodził oblicza, wszyscy ochoczo ruszyli w pole, a wesoła zabawa pochłonęła smutne myśli. Trzy dni bawiono się wyśmienicie w dobrach Emanuela, potem całe towarzystwo udało się w sąsiedztwo, ztąd poszło daléj i tak parę tygodni biegło niepostrzeżenie na uciechach i rozrywkach różnego rodzaju. Lecz zabawa bez pracy, to pogodne słońce bez deszczu i rosy; mile przyświeca sercu, ale skwarne jego promienie wyczerpują siły i nużą zmysły, prowadząc do przesytu i znudzenia. Po paru tygodniach całe towarzystwo przekonało się o téj prawdzie—zaczęto się rozjeżdżać do domów, Emanuel powracał także, a chociaż okolica była przecudną i dzień pogodny jak rzadko, drzemał w powozie ze znużenia i nudów. Tak zbliżał się do domu, silne uderzenie powozu o kamień zbudziło go, otworzył oczy i pierwszym przedmiotem, który wzrok jego uderzył, były gruzy tak powabnego niedawno jeszcze dworku Zaręby. Przypomniał sobie Emanuel nieszczęśliwego sąsiada, przypomniał ostatnie z nim spotkanie i jakoś boleśnie zabiło mu serce, jakaś myśl tęskna zawisła w głowie i jakieś przykre uczucie owładło nim całym. Prawo miłości bliźniego tak silnie wyryte jest w duszy każdego człowieka, że nawet najbardziéj zepsute serce zatrzeć go nie może; prędzéj czy późniéj idzie za jego głosem. Skoro Emanuel do domu zajechał, zapytywać się zaczął domowych, co się z Zarębą stało, a dowiedziawszy się, iż znalazł schronienie i przytułek u proboszcza, natychmiast posłał po niego, pragnąc dopomódz mu i tą pomocą nagrodzić krzywdę, jaką mu niegodnem postąpieniem swojem wyrządził, a sobie ulżyć ciężaru, jakim go gniotło wspomnienie tak niechrześciańskiego obejścia się z bliźnim. Lecz Zaręba, jak to wiemy, właśnie w tym czasie wyjechał na Litwę; posłaniec już go więc nie zastał, a tak dobre chęci Emanuela spełzły na niczem, budząc w nim tylko tę uwagę, że nigdy nie należy ociągać się z pomocą dla bliźnich, bo człowiek tylko obecną chwilą rozrządzać może, jutro już nie do niego należy.

—

Mijał rok za rokiem, pan Emanuel bawił się, polował, szalał—szlachcic pracował, chwalił Boga, zbierał grosz do grosza. Tak ubiegło lat dziesięć. Dobrze zrozumiana oszczędność, rządność i praca przy błogosławieństwie boskiem wkrótce wydała piękne owoce. Zaręba teraz już właściciel znacznego majątku, chąc podać sposób zarobkowania swym wieśniakom, a tem samem podnieść ich byt dobry, postanowił otworzyć w swym majątku fabrykę wyrobów lnianych. Na Litwie len cudownie się udaje, a dziewczęta wiejskie doszły do wysokiego stopnia doskonałości w przędzeniu. Otwierając rzeczoną fabrykę, Zaręba podawał możność spieniężenia korzystnie przędzy, oraz zachętę do staranněj uprawy lnu.

Jakkolwiek obeznany z tego rodzaju fabrykacyą, pragnął jednak poznać ją lepiéj jeszcze i dopełnić wiadomości swoich—w tym celu udał się za granicę w zamiarze zwiedzenia Belgii i Niemiec. Tam poznał właścicieli bogatych fabryk, którzy chętnie pozwolili mu zwiedzić swe zakłady, a uwagami i objaśnieniami opartemi na długoletniem doświadczeniu, rzeczywiście o wiele powiększyli wiadomości jego. Po kilko tygodniowym pobycie, kiedy już sądził, że dostatecznie usposobił się do nowego zawodu, postanowił wrócić do kraju, aby co prędzéj przystąpić do rozpoczęcia dzieła, w którém tyle widział korzyści dla siebie i poddanych swoich. Udał się więc do zarządu Drogi Żelaznéj, pragnąc się zapewnić, czy będzie mógł nazajutrz wyruszyć w drogę. Wśród młodych ludzi, których znalazł w biurze zarządu, spotkał znajomą twarz, która go mocno zastanowiła. Po chwilowym namyśle poznał w niéj Emanuela. Zbliżył się natychmiast do niego i powitał grzecznie dawnego sąsiada; Emanuel poznał go także, lecz przez wstyd wywołany upokarzającem wspomnieniem przeszłości zapierał się samego siebie; jednak po chwili pokonany wymową człowieka, w którego każdem słowie przebijała się jego szlachetna dusza i dobre serce, przyznał, że w saméj rzeczy jest tym samym, że wkrótce stracił majątek, a opuszczony

od przyjaciół, którzy go razem z majątkiem odbiegli, zostawiony sam sobie na obcéj ziemi, nie mogąc znaleść żadnego sposobu do utrzymania życia, byłby pewno umarł z nędzy i rozpaczy, gdyby nie szczęśliwy wypadek, w skutku którego dostał nareszcie miejsce w biurze kolei żelaznej.

— Nie uwierzysz pan, dodał, jak okropne jest położenie moje—przyzwyczajony do wygód życia i samowolności, tutaj zmuszony jestem znosić biedę i tysiące upokorzeń. Niepodobieństwem jest dla mnie wracać do kraju, bo tam życie moje byłoby jeszcze okropniejszem; bez majątku, bez krewnych, żebraćbym chyba musiał lub usługiwać tym, którzy kiedyś mnie służyli.

Wzruszony tem opowiadaniem Zaręba pragnął podać pomoc nieszczęśliwemu, pocieszał go jak mógł; zalecając ufność w miłosierdzie Boże, widząc zaś, że rozmowa ich zwraca uwagę przytomnych, prosił go, aby ułatwiwszy się, zechciał przyjść do niego dla naradzenia się, czyby nie można jakoś złemu zaradzić i byt jeśli nie zupełnie szczęśliwym, to przynajmniéj znośniejszym uczynić. Zaledwie zmierzchać się zaczęło, Emanuel był już u Zaręby. Długo, długo toczyła się rozmowa; z niéj przekonał się, że dawny sąsiad jego w walce z cierpieniem i przeciwnościami utracił dawne swe wady, oczyścił umysł i serce ze szkodliwych błędów, że brak mu tylko pomocy, aby zaczął życie czynne i użyteczne dla bliźnich. Dowiedział się także, że znajdują się środki uratowania choć części z jego znacznego majątku. Nawzajem opowiedział mu, co go spowodowało do wyjazdu z kraju, a przyrzekając szczerze zająć się przywróceniem mu utraconego majątku, namawiał, aby oczekując pomyślnego skutku jego starań, przyjął tymczasowie miejsce u jednego z bogatych fabrykantów tego miasta. Rozsądne rady i namowy Zaręby trafiły do serca i przekonania Emanuela, zgodził się on na przedstawienie nowego swego dobroczyńcy i przyjąwszy pewien zasiłek pieniężny jako pożyczkę, którą miał spłacić, gdy powróci z czasem do kraju, zajął miejsce w wzmiankowanéj fabryce, a Zaręba zakończywszy tak dobroczynnym uczynkiem pobyt swój za granicą, powrócił do kraju.

Minął znowu rok jeden, Zaręba urzeczywistniając zamiary swoje, zajął się skrzętnie założeniem i uporządkowaniem fabryki, a jednocześnie pamiętając na przyrzeczenie uczynione Emanuelowi, z równą jeśli nie większą sprężystością zajmował się jego interesami. Rzeczywiście po roku, dzięki jego niezmordowanym staraniom, Emanuel mógł już wracać do kraju—jedna z wiosek należących niegdyś do niego została odzyskaną, a dochody z niéj mogły wystarczyć na przyzwoite utrzymanie. Emanuel nie wrócił jednak—życie czynne, towarzystwo ludzi pracowitych i uczciwych korzystnie oddziałały na jego charakter i usposobienie; na list Mateusza odpisał, że zamierza rok jeszcze zabawić w miejscu obecnego swego pobytu, prosił, aby sprzedał to, co od utraty uratować zdołał i otrzymane ztąd pieniądze umieścić na czas w pewném miejscu lub u siebie, dodając w końcu, że na rok przyszły postara się powrócić do kraju.

Poznał Emanuel, ile stracił przez marnotrawstwo i próżniactwo, ale poznał także, czego to praca i oszczędność dokazać mogą. Z całym więc zapałem oddał się pracy; przykład Zaręby, jego szlachetność i prawość wspierały go, przewodniczyły mu na drodze poprawy. Po roku tak jak obiecał w liście pisanym, wrócił do kraju, lecz wrócił zupełnie innym człowiekiem. Dwuletni pobyt u zamożnego fabrykanta, którego przychylność pozyskał sobie pracą i dobrem prowadzeniem się o tyle go ukształcił, iż obecnie mógł sam zarządzać fabryką i kierować robotnikami. Wróciwszy więc do kraju, udał się zaraz do swego dobroczyńcy, kapitał swój przyłączył do zakładowego kapitału i przyjął zarząd fabryki, która tym sposobem znacznie powiększoną i ulepszoną została. Pomyślność i szczęście, jakiego zawsze doznaje człowiek gdy pracą i silną wolą podźwignie się z upadku, do reszty wygładziły z serca jego dawniejsze błędy i przesądy. Wkrótce potrafił zjednać sobie szacunek i poważanie u wszystkich, a to dodało mu nowego bodźca do utrzymania się na drodze, po któréj obecnie dążył. W końcu ożenił się z córką Zaręby, żył dla dobra bliźnich, nigdy nie odtrącił biednego, który go błagał o wsparcie i pomoc; jeśli zaś doznał od kogo krzywdy i niesprawiedliwości, chętnie takowe przebaczał i szukał sposobu przekonania, iż ich nie pamięta.

W druk. J. Ungra. Wolno drukować. Warszawa dnia 14 (26) kwietnia 1858 r. Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*